

WAWERLEJ

opowiadanie historyczne

WEDŁUG

WALTER-SKOTTA.

Ciąg dalszy.

— Sumiennie mogę zaręczyć, że pan Baron rad będzie niezmiernie tak miłemu gościowi, ale teraz znajduje się przy ludziach ścinających czarną czarownicę. Chłopcy przeznaczeni do posług ogrodowych, otrzymali rozkaz towarzyszenia mu, a ja tymczasem chciałem sam przygotować inspekta dla panny Róży. Ogrodnictwo niezmiernie lubię, ale mało mam czasu do zajęcia się niem jakbym pragnął.....

— Szczególniej gdy do roboty nie ma ochoty, przerwał przewodnik Edwarda strojąc minę jakby to wyrzekł dla samego siebie.

— Milez Dawidzie! fuknął Major Domo, i idź mi zaraz poszukaj Barona i powiedz mu, że przybył gość z południa do zamku.

— A czyby nie mógł on, zapytał się Wawerlej, zanieść listu do Barona?

— I owszem odda go z pewnością, jest bowiem więcej filutem jak waryatem.

Dawid po za plecami mówiącego wykrzywił się i pogroził pięścią na dowód że go nie lubi, i odebrawszy list szybko w podskokach wybiegł z ogrodu.

— Jest to niowinny, odezwał się Ochmistrz spoglądając za biegnącym Dawidem. U nas w każdym dworze musi być taki półgłówek, ten jednak za wiele sobie pozwala. Dawniej jak inni od rana do nocy pracował, ale od chwili jak obronił pannę Różę od napaści byka, od tego czasu wolno mu próżnować i odtąd nazywamy go Dawidem Do little czyli mało robiącym, lecz właściwie nazywać go moglibyśmy nie nie czyniącym, albowiem przywdziawszy swój dziwny ubiór dla rozweselenia pana Barona i panny Róży, nie nie robi, tylko tańcuje i skacze albo łowi pstrągi. Ale otóż idzie panna Róża, pewny jestem że niezmiernie ucieszy się z przybycia swego krewnego.

Panna Bradwardine była młodziutką bardzo panielką, miała lat siedemnaście, włosy piękne złociste i pleć białą, bielszą od śniegu na górach szkockich. Nie była przytem bladą ani z omdlewającym wejrzaniem, a w rysach jej twarzy jak również w całej postaci, malował się żywy bardzo temperament. Łatwo bardzo rumieniać się, wzrost miała niewielki, kibić wysmukłą, ułożenie naturalne i zgrabne. Po pierwszym pozdrowieniu dowiedział się od niej Edward, że stara czarownicą u której Baron znajdował się, zwał się zrab lasu dębowego, który w owym dniu ścinano. Oświadczyła przytem iż chętnie gościowi wskaże drogę do owego lasu, lecz w tem spostrzeżono, jak sam Baron szybkim krokiem szedł przez pola i zagony a za nim Dawid.

Był to człowiek chudy, silny, wysmukłej postawy, w podeszłym już wieku co i włos siwy okazywał, ale

zwawy, rzeński i widocznie w trudzie obozowym zahartowany. Ubiór na nim był dosyć zaniedbany, rysy zaś twarzy miał nieruchome i poważne, a postawę wyprostowaną jakby stał we froncie i pełnił służbę wojskową. Nadzwyczajnie uradowany przybyciem synowca swego przyjaciela, ze łzami w oczach wstrząsnął poufale jego rękę, uściśnął, ucałował i wdmuchnąwszy z nosa sporą ilość tabaki szkockiej w oczy Edwarda, wywabiał z nich również kilka łez wzajemnej czułości.

— Na słowo szlachcica, rzekł, odmłodziłem widząc ciebie panie Wawerleju. Zacne plemię starego szczepu, spes altera, jak mówi uczony Rzymianin Maro; w twojej twarzy i postaci kapitanie, maluje się dobitnie szlachetność starego rodu, jakkolwiek nie masz jeszcze okazałej powagi mego starego przyjaciela Sir Ewerarda. Więc przyczepiłeś kokardę nowego porządku rzeczy? Tak, tak, nie w tem nie ma bardzo złego, bo barwa szmata nie zawsze godzi się z zasadami naszych przekonań, ale inną razą o tem, bo podobno oba z Sir Ewerardem zestarzailiśmy się i czasy się zmieniły. Jakże się miewa zacny Baronet, i piękna panna Regina.....? Aha! śmiejesz się, bo dziś ona babulka, ale i wam młodym rok za rokiem przybywa i zastarzejecie się, a Ciotka twoja panna Regina w r. 1716 w istocie była śliczną dziewczęcą. Minęło to jednak, dziś pochylona i przygarbiona..... ale witaj mi jeszcze raz kochany kapitanie w ubogim moim zakątku. Rózo biegnij do domu i każ wyszukać butelkę starego wina z Bordeaux, którego zapasy jeszcze błąkają się od r. 1713. Gościa tak miłego trzeba przyjąć wszystkim co mamy najlepszego.

Róza dość poważnie postąpiła wolnym krokiem, ale minawszy pierwszy róg domu, pobięła szybko aby spełnić jak najspieszniej dane sobie polecenie.

Następnie Baron rozmawiając ciągle, doprowadził Wawerleja aż do podwoi zamkowych. Tu kilku pokojowców ustrojonych w liberyę starodawnego kroju wprowadziło ich:

Do sieni strojnej w piki, hełmy i pancerze,
Które w bojach nie jedni zużyli rycerze.

Niezmordowany w okazywaniu swej grzeczności, prowadził Baron gościa przez długi szereg pokojów, nigdzie się nie zatrzymując, do wielkiej sali jadalnej, wykładanej taflami dębowymi i ustrojonej wizerunkami członków rodziny Bradwardine. Na środku stał stół nakryty na sześć osób a przy ścianie kredens starożytnej struktury, uginający się pod ciężarem starych szczeru srebrnych naczyń rodzinnych. W tej chwili dał się słyszeć głos dzwonka od bramy wjazdowej, jako znak że nowi goście do zamku przybywają.

— Przybywający w tej chwili kapitanie, odezwał się Baron, są to wszystko moi sąsiedzi i osoby godne wielkiego poważania. Lord Falkoner zabity myśliwi ale wielce wykształcony młodzieniec; lord Killankurait oddany z zapałem gospodarstwu wiejskiemu, niejaki Bulsegg niskiego wprawdzie rodu, ale przez ożenienie z owdowiłą lady bardzo bogaty, i wreszcie rządca mego majątku p. Duncan człowiek zalecający się szczególną prawością.

Wkrótce nowi goście weszli do jadalni i po przedstawieniu wzajemnem zasiedli do stołu, według ów-

czesnego zwyczaju szkockiego sutemi przyborami zastawionego. Baron jadł jak zgłodniały żołnierz, myśliwiec lord Falkoner jak wilk po tygodniowym poście, Bulsegg jak łakomiec, a rządcza Dunkan za wszystkich czterech razem, choć siedział tylko na krawędzi stołka i o dwie stopy od stołu oddalony. Po ostatnim daniu wniósł Baron toast za zdrowie króla, a baczny na różność zdania politycznego zgromadzonych gości, zostawił ich woli, czy mają spełnić za zdrowie monarchy panującego, czy też Sturarta który panować przestał. Wawerlej na usilne prośby otrzymał pozwolenie pomijania niekiedy dość szybko krążącej kolei: gdy wreszcie wieczór się zbliżył, Baron dał znak potajemny i zaraz przyniesiono mu złoty puchar staroświeckiej formy wyobrażający rozżartego niedźwiedzia. Baron przyrzekł mu się z pewnem poszanowaniem i zwracając się do Wawerleja rzekł:

— Wyobraża on najzacniejszą część herbu naszego, niedźwiedzia wspinającego się na łapy w stanie najdzikszej srogości. Herb ten otrzymaliśmy od cesarza niemieckiego Fryderyka Rudobrodęgo, na pamiątkę zwycięskiej walki mego pra-pradziada Godmunda Bradwardine z pewnym olbrzymim Duńczykiem za obrazę córki cesarskiej. Byli oni wtenczas wszyscy w Ziemi świętej, a Duńczyk właśnie miał niedźwiedzia w godle herbowym, jako więc pokonany ustąpił go memu dziadowi. Sam zaś puchar dany był na pamiątkę jednemu z moich przodków przez Dufaka opata za obronę w uapaści na dobra klasztorne. Z tego powodu zwano go poświęconym niedźwiedziem Bradwardinów, a w rodzinie naszej uważano za klejnot bardzo szacowny używany tylko podczas wielkich uroczystości, do których należy i przybycie do mego domku synowca starego mego przyjaciela Sir Ewerarda. Wnoszę zatem toast za pomyślność i szczęście wielce szacownego i starożytnego domu Wawerlejów.

Odmówiwszy to długie objaśnienie, Baron kwarantową prawie miarę wina nieszczęcając się w pucharze wypił duszkiem i oddał go sąsiadowi. Z niewypowiedzianą trwogą poglądał Edward na krążącego w około potwora, i napis wyryty na nim: lękaj się niedźwiedzia! Pojmował to bowiem, że jeżeli nie wychyli do dna pu hara, popadnie w złe rozumienie u biesiadników, z których żaden nie wahał się wyświadczyć mu tego nadzwyczajnego zaszczytu. Nie było tego jednak: Edward postanowił znieść jeszcze to ostatnie okrucieństwo przesadzonej gościnności a potem odejść od stołu. Jakoż rad nie rad, wypił napój zawarty w poświęconym niedźwiedziu do większej jego połowy, tak zręcznie z tem sprawiwszy się, że podstępnie nie zobaczono. Zaraz potem na biesiadnikach mniej oględnych, okazały się skutki podniesionego trunkiem humoru: przymus i duma ustępować zaczęły przed otwartością, a goście którzy się dotąd ceremonialną tytułowali grzecznością, wofali teraz jedyn na drugiego pieszczotliwymi imionami Tulli, Balli i Killi, jakby przyjaźnią byli połączeni od najmłodszego wieku. Gdy raz jeszcze puchar obszedł koło, dwaj ostatni coś szepnęli do siebie cicho, a potem głośno prosili, aby im wolno było wnieść toast pożegnania. Baron z trudnością zezwolił na to, Wawerlej odetchnął z radości ciesząc się nadzieją ukończenia pijatyki. Było to jednak częste złudzenie a ponieważ goście zostawili konie w karczmie, więc Baron postanowił ich odprowadzić, od czego i Wawerlej nie mógł się wymó-

wić. Za przybyciem pod próg budynku, goście oświadczywszy że nie mogą odjechać bez wypicia kielicha strzeniennego na pożegnanie, weszli do środka karczmy wlokąc niemal Edwarda za sobą, któremu Baron szepnął iż sprzeciwianie się i wymawianie od towarzystwa, byłoby bardzo źle uważane i mogłoby srodze biesiadników obrazić. Wawerlej nie mógł się dalej opierać, i zasiadł z towarzyszami podającymi sobie z ręki do ręki ogroiny cynowy kufel zwany oskubaną kurą, równej co puchar zamkowy wielkości.

Widoczną zatem było rzeczą, że ostatki rozumu których niedźwiedź nie pochłoniął, oskubana zabierze kura, a choć Edward jak mógł kolej omijał, zawsze jednak coś wypić musiał nie mogąc wymknąć się z biesiadniczego grona. Wesołość i gwar ogólnie zapanowały: mówiono razem a nikt słuchać nie chciał. Baron śpiewał francuzkie piosnki łacińskimi przeplatane urywkami, drudzy rozprawiali o polowaniu i gospodarstwie, Bulsegg pił i uśmiechał się a lord Falkoner nie mogąc dłużej wytrzymać, począł krzyczeć całym gardłem:

Czym szedł w pole,
Czym stał w dole,
Rażnom wietrzył wzdłuż i wszerz,
By nie uszedł z tropu zwierz.

Baron, którego śpiew stłumiony został krzykliwochrapliwym głosem Falkonera, przycichł nucąc pod nosem: Lon, Lon, Laridon! i mierząc wejrzeniem pełnem wzgardy szczęśliwszego współzawodnika, co wyłącznie na siebie zwrócił uwagę obecnych. Tymczasem Falkoner nie zważając na wyraz twarzy Barona, śpiewał dalej:

A w tem patrzę, w górze głuszec,
Pafl już go dosięgł twardy kruszec,
Wnet do torby wiąże ptaka,
Oj! nie chybi ręka taka.

— Brawo! Wybornie! — wrzasneli biesiadnicy — śpiewaj lordzie dalej, słuchamy, słuchamy!

— W tej chwili wyszło mi z pamięci, odrzekł Falkoner nanyślając się: — przy winie pamięć mi nie służy, ale przynajmniej panowie, że w piosnce tej więcej sensu, aniżeli we wszystkich owych francuzkich bzdurstwach: Lon, Lon, Laridon!

Baron zażył tabaki i spojrzął na lorda ze zgrozą i wzgardą, Falkoner nie widział i tego, a zapominając o wszelkich względach przynależnych gospodarzowi, zawołał:

— Szkaradne wino w twojej karczmie Baronie Bradwardine, dajcie wódki!

— Przyniesiono ją: Falkoner podniósł kielich w górę i wołając bełkoczącym głosem i z oczami ciągle przymykającymi się lub przewracającymi jakby uciec chciały z oprawy, wyrzekł powolnie zwracając się trochę do Wawerleja:

— Podły trunek niechże na podły przeznaczony będzie wiwat! Panowie.... piję zdrowie nowego.... porządku.... nowych ludzi.... i nowych obrońców.....

Edward powstał czując płomień wchodzący mu na policzki, ale go uprzedził Baron, wołając z wielkim zapałem:

— Mój panie Falkoner, nie zapominaj się, bo nigdy nie pozwolę ubliżać honorowi gościu który pod moim dachem przebywa. Czy wiesz co mówi Tytus Liwiusz o żołnierzach rzymskich.... ale co mam z waćpanem rozprawiać o klasykach starożytnych,

na których zapewne znasz się tyle co kura na pieprzu.

— Doprawdy? — zapytał przeraźliwym głosem Falkoner, ale gdyby mi wszyscy przekleci wigowie.....

— Mielez waćpan, zawołał Baron z wielkim gniewem, nie zapominaj że wiga mamy pomiędzy sobą w osobie kapitana Wawerleja, że...

— Pozwól Baronie, odezwał się Edward, ale mu Baron nie dał dalej mówić.

— Proszę cię kapitanie, rzekł, w każdym innem miejscu wolno ci samemu za siebie ujmować się, ale na mojej ziemi, w ubogiej mej posiadłości Bradwardine niech mi wolno będzie bronić cię od wszelkiej zniewagi. Co zaś do ciebie panie Falkoner, ostrzegam i upominam, abys nie wychodził z granic przyzwoitości.

— A ja ci powiadam panie Baronie Bradwardine, odrzekł Falkoner z szyderstwem, że każdego kto mojego toastu nie spełni, tak zmiotę jak kurkę wodną, nie bacząc, czy to będzie wig angielski z mopsiem uszami a czarną wstążką na szyi, czy też jeden z tych ichmościów, co to przyjaciół się wyrzekają, aby tylko mogli wyżebrać jaką łaskę u hawerskiego szczura.

Na tak zuchwałe wyzwanie, w oka mgnieniu błysnęły dwie szable, i zapasnicy zajadły się z sobą sportkali. Falkoner był młody, śmiały i popędliwy, ale Baron nierównie biegleszy w robieniu bronii, byłby niezawodnie dobrem cieciem naznaczył przeciwnika, gdyby nie zbyt wielka liczba wychylonych pułarów, która mu zręczności w działaniu odnowiła.

Jednocześnie Edward poskoczył z niejsca chcąc się rzucić między walczących, ale potknąwszy się o leżącego na ziemi lorda Killankurait, padł przy nim jak długi. Przeciwnicy więc ciągle wywijali szablami pragnąc jeden drugiego dosięgnąć, na szczęście gospodyni Lucyja usłyszawszy wrzawę wbiegła śmiało na plac boju i zawołała:

— Panowie, panowie! tu ciasne miejsce do pojedynku, o parę kroków jest obszerne pole, gdzie się bić możecie do upadłego. Wyjdźcie więc z izby tam znajdziecie wszelką do bitwy wygodę.

Domawiając tych słów zręcznie zarzuciła na pałasz swój płed czerwony i przy pomocy potem sług i Edwarda rozłączyła nacierających na siebie z coraz większą zajadłością. Wyprowadzony Falkoner złorzecząc wigom i fanatkom zarówno angielskim jak szkockim, zaledwie mogąc się utrzymać na nogach, wsiał na konia i odjechał. Edward tymczasem zaprowadził do zamku Barona Bradwardine, nie mogąc nic zrozumieć co tenże długo i uczenie rozprawiał bez przerwy i wytchnienia.

Wawerlej nieprzyzwycajony do wina twardo zasnął, a nazajutrz późno przebudziwszy się, rozpałmiętywał z boleścią serca sceny wczorajszego zdarzenia. Obrazono go osobiście, jako szlachcica i Wawerleja, wprawdzie obrażający był od nadmiaru trunku nieprzytomnym, i nie wiedział zapewne co mówił i robił, zawsze jednak obraza wyrządzoną mu została. Musiał ją zatem zmyć z siebie, poszedł więc do jadalni w której zastawiono do śniadania z zamiarem pożegnania się z panem Bradwardine, a potem napisania do jednego z kolegów aby przybył wyzwać pana Falkonera na pojedynek.

— Brzydka sprawa, mówił sam do siebie, wstydę się sam siebie że nie miał odwagi porzucić towarzystwo oddające się nagannemu opilstwu.

W dodatku bić się mam jeszcze, i albo zabiję przeciwnika obarezonego może licznymi obowiązkami, albo sam zabity zostanę na wstyd i wieczną swoją hańbę, że w burdzie karczemnej życie postradał.

Przy zastawie stołowej zastał pannę Różę nalewającą kawę i herbatę. Znajdowały się tam placiki, strucle, sucharki z mąki pszennej i jęczmiennej, tudzież jaja, pieczenie cieleca, barania, jelenia, wędzony łosoś, konfitury i rozliczne inne przysmaki. Dla Barona postawiono talerz zupy owsianej i spory srebrny dzbanek śmietany z maślanką. Róża uwiadomiła Wawerleja, że jej Ojciec bardzo rano wyszedł z domu, poleciwszy aby gościowi snu nie przerywano.

Wawerlej po przywitaniu nic prawie nie mówiąc, usiadł na krześle, roztargniony, nieprzytomny tak dalece, że panna Róża aż się zdziwiła jego milcząca i zadumaną postawą. Rozpoczęła jednak rozmowę o rzeczach zwyczajnych: Wawerlej zbywał ją krótkimi odpowiedziami i znowu miledzał upoczywie. Zamilkła więc i panna Róża, rzucając ukradkowe spojrzenia na młodzieńca, i dziwiąc się że należąc do znakomitej rodziny, nie odebrał przynajmniej choć takiego wychowania, aby mu to dozwoliło zabawić ją przyjemną rozmową. W tem Wawerlej zobaczył przez okno idącego Barona razem z trzymającym pod rękę Falkonerem i zajętego z nim nader wesołą i ożywioną rozmową. Edward na ten widok zerwał się zaczerwieniony i zapytał z żywością:

— Czy pan Falkoner nocował dziś w zamku?

— Nie kapitanie, nie nocował, odrzekła Róża zdziwiona tem pierwszy raz zrobionem zapytaniem. W tej chwili wszedł Rządca z oświadczeniem, że Baron Bradwardine życzy sobie pomówić na osobności z kapitanem Wawerlejem.

Z mocnem biciem serca nie z bojaźni lecz ze wstydu, udał się Edward niezwłocznie do wskazanego pokoju, gdzie zastał obu wczorajszych zapasników w najlepszej harmonii stojących przy sobie. Na twarzy Barona malował się wyraz szlachetnej powagi, oczy zaś Falkonera zwykle żywe i śmiałe ćmiła mgła wstydu czy zgryzoty, czyli też obojga razem. Baron pociągnął lorda za sobą i zatrzymawszy się przed Wawerlejem na środku pokoju, rzekł z pewną uroczyścią:

— Kapitanie! Oto pan Falkoner, który prosił mnie abym był jego pośrednikiem i abym ci oświadczył, iż wielką czuje boleść przypominając sobie niektóre wypadki zaszłe podczas naszego wczorajszego zebrania, a dla ciebie jako służącemu w armii dzisiejszego rządu zapewne niemiłe. Prosi cię zatem abys mu to przebaczył i nie odrzucił tej ręki, którą ci na znak przyjaźni podaje. Natychmiast Edward ujął za wyciągniętą ku sobie rękę Falkonera i serdecznie uściśnawszy rzekł:

— Nie mogę żadnym sposobem dłużej zatrzymywać w pamięci tego, co nie w złej myśli wyrzeczonym zostało. Wszystko to zrobiło nadużycie przy zabawie trunku.....

— Tak, tak kapitanie, przerwał Baron, pięknie to powiedziałaś, bo kiedy człowiek jest ebriu: czyli podcięty, to nie wie co mówi. Wawerlej otrzymałszy zupełne zadość uczynienie, zaczął się teraz raźniej i żwawiej uwijać około przysmaków śniadaniowych przygotowanych przez pannę Różę. Czuł że mu wielki ciężar spadł z serca, bo zakończenie burdy za którą sam przed sobą się wstydził. Falkoner

jednak był smutny, upokorzony i teraz dopiero Wawerlej spostrzegł, że rękę miał chustką obwiązaną.

Zapytany przez pannę Różę, przebaknął coś o spadnięciu z konia, a pragnąc widocznie uniknąć dalszych zapytań, pożegnał wkrótce Barona i pojechał do domu. Wawerlej objawił teraz życzenie wyjechania z powrotem do pułku, ale Baron zawołał zdziwiony tem żądaniem:

— Jakto, chcesz mnie kapitanie porzucić?

— Służba Baronie wolność traci.

— Zapewne, ale może lękasz się powtórzenia podobnej uczty? Bądź spokojnym Kapitanie, nie jestem bowiem lubownikiem pijatyk, a jeżeli na wczorajszej oehocie niektórzy z naszych przyjaciół niezupełnie byli *ebrii*, to przynajmniej *ebrioli*, którym to wyrazem starożytni oznaczali mały szum w głowie, co w waszej angielszczyźnie zowie się, zabrać tylko po kolana. Ale to do ciebie Kapitanie bynajmniej nie ściaga się, owszem wyznać muszę, że jako roztropny młodzieniec byłeś wstrzemięźliwy i umiarkowany, i często z puharami wymijałeś się co z wielką swą pociechą bardzo dobrze uważałem. Zostań więc jeszcze dni parę a potem już cię zatrzymywać nie będę. Wawerlej nie mógł się oprzeć tak szczerzej prośbie, następnie Baron zaprosił go na polowanie na sarny, powiadając że już kazał udać się z psami do lasu Dawidowi.

— Dawidowi! zawołał Wawerlej z podziwem, czyż on z tego obowiązku wywiąże się dobrze?

— Bądź spokojny kapitanie, odrzekł Baron, nie jest on *naturaliter idiota*, tylko endak uparty robiący tylko to co mu się podoba. Uratował życie mojej Róży, ma więc prawo do moich względów i tych mu nie odmawiam, Namiętnie przytem lubi muzykę, przy rzewnej płacze, przy wesołej cieszy się, umie na pamięć mnóstwo pieśni i niemi nieraz odpowiada na zadane sobie pytanie. Myślistwo także niezmiernie mu się podoba, biorę go też zawsze z sobą bo mam pomoc i cieszę się, że biedakowi temu sprawiam tem przyjemność.

Wycieczka myśliwska powiodła się wybornie, a gdy Baron z gościem wrócił do zamku, po posiłku oba udali się do mieszkania Róży znajdującego się o piętro wyżej w wieży narożnej zamku. Rozmowa długo trwała, rozmawiano o różnych przedmiotach, i Wawerlej wprędce przekonał się, że o ile panna Bradwardine była żywą i wesołą, o tyle umysł jej był wykształcony a myśli poważne gdy przedmiot rozmowy wymagał tego.

Dnia następnego wstał Edward bardzo rano i obchodząc ogród spotkał się w nim z Dawidem, który spojrzawszy na Wawerleja uśmiechnął się złośliwie i zaśpiewawszy jakąś piosnkę wyszeptał potem jednym ciągiem:

— Biedny Falkoner, zbroczył obuwie i próg domu skrwawił. Biedny o! biedny... la-la—la-la!

Słowa te zdziwiły niezmiernie Wawerleja, chciał go dokładniej wypytać, ale Dawid nie już nie odpowiedział i śpiewając: la-la-la! zniknął w gąszczu ogrodowym. Intendent dopiero zajęty oczyszczeniem krzaka róży, zapytany o znaczenie słów Dawida, odrzekł pokręciwszy głową:

— To sprawa zwyczajna. Baron za obrazę pana Kapitana wyzwał Falkonera na pałasze, zrabował mu rękę, i dobrze się stało, bo to junak i pyszałek ogromny. Wyglądał też jak zmokła kura, a że mu rękę na prędce źle opatrzone, kapał więc krwią przez ca-

łą drogę z powrotem do domu, i dla tego Dawid powtarza to co usłyszał.

Strapiony Edward tą wiadomością pobiegł zaraz do Barona z wymówką, że nie uprzedziwszy go sam się rozprawił z Falkonerem.

— To moim Baronie, rzekł z żalem, było obowiązkiem.

— Ale nie w moim domu.....

— Tu szło o moją godność, o sławę....:

— Cyt! ani słowa więcej, przerwał Baron. W moim domu gość jest świętą osobą i nietykalną, za murami i granicami mej posiadłości wolno mu robić co zechce. Za karę zaś że prawu temu chcesz ubliżyć, pozostaniesz w zamku cały miesiąc, bo urlop na tak długo masz sobie udzielony.

Edward więc rad nie rad rozgościł się w zamku, a panna Róża korzystając z pobytu jego w tem odludnem ustroniu zapoznawała się bliżej z literaturą bieżącą, z której kilkanaście książek sprowadzono umyślnie z garnizonu. I tak minęło kilka tygodni. Edward coraz więcej przywiązywał się do ludzi i miejsca nowego swego pobytu, ale raz rano wróciwszy z przechadzki, w całym domu napotkał niezwykłe zamieszanie. Cztery bosc dziewczyny biegły z próżnemi saganami od mleka przeraźliwe wydając okrzyki rozpaczey i żalu i wołając przytem:

— Ach! panowie ratujcie!

Wawerlej nie mogąc nic zrozumieć co ten krzyk znaczy, zobaczył intendenta galopującego na koniu z wielkim pędem, za którym pospieszało w niewielkiem oddaleniu kilkunastu wieśniaków. Do nich zaraz przyłączył się Dawid i podskakując śpiewał rzewnym głosem:

— Wszystko przepadło! Pustka i zniszczenie!

Wawerlej wszedłszy do ogrodu, zastał samego Barona przechadzającego się szybkim krokiem po tarasie, w wielkim gniewie i uniesieniu.

Przez delikatność nie chcąc się wdierać w tajemnice domowe, pobiegł do domu. W sali jadalnej znalazł pannę Różę także zmartwioną i zamysloną, mniej jednak od Ojca oburzoną i nie tak zrozpaczoną jak sługi dworskie. Zobaczywszy Wawerleja rzekła:

— Kapitanie, nie będziesz dziś jadł śniadania, bo banda Kateranów napadła dzisiejszej nocy na nasze obory i zabrała wszystkie dojne krowy.

— Banda Kateranów?—zapytał Wawerlej, cóż to za rodzaj nieznanych mi złoczyńców?

— Są to rozbójnicy z sąsiedniego górnego kraju, odrzekła Róża z westchnieniem. Póty było dobrze, pókiśmy Fergusowi Mak Iwor-Wich-Jan Wohrowi haracz opłacali, ale Ojcu memu zdawało się iż taka uległość uwłacza jego rodowi, w skutek tego wypłaty odmówił i spadło na nas zaraz przewidywane nieszczęście. Mniejsza o krowy kapitanie, ale mój Ojciec czuje się mocno obrażony a że jest porwywczy i odważny to zapewne zechce odzyskać stratę. Tego właśnie się lękam, bo niech tylko zaczepi tych ludzi, jestem przekonana że przez całe nasze życie pokoju mieć nie będziemy. Co to będzie, co to będzie!

Domawiając tych słów rzewnemi zalała się łzami, w tej chwili nadchodzący Baron tak ją złażał gniewliwie, że aż Wawerlej zdziwił się tej popędliwości.

d. c. n.